

# Grzyby w uprzęży, czyli weekend wyciśnięty do cna

Tekst napisałem prawdopodobnie krótko po powrocie z tego wypadu, czyli jakoś w październiku 2019 roku. Jednak natknąłem się na niego dopiero teraz i dopiero w grudniu 2020 zamieszczam go na stronie.

## Od siebie

Podejmowanie się aktywności przychodzi mi łatwo, ale nie jest to też tak, że chce się zawsze i wszystko. Jak każdy, ciągle potrzebuję motywacji i najlepiej kiedy jest to ta motywacja, która pochodzi z wewnątrz. Ale nie tylko, bo jak każdego motywują mnie też pozytywne i zachęcające słowa od osób trzecich. Pewnie, że w góry chodziłbym nawet, gdyby nikt tego nie pochwalał, albo gdyby – co gorsza – wszyscy mieli to gdzieś. Ale czuję, że jest w tym coś więcej, kiedy słyszę, że to co robię kogoś inspiruje, albo, że przynajmniej wydaje się dla niego interesujące.

Co jeszcze mnie motywuje? Zdrowie, a właściwie każdy sygnał o jego braku. Bołący kręgosłup lub noga powoduje, że chcę więcej ćwiczyć. Podobnie jak wszelkie problemy w strefie duchowej, psychicznej: ruch i góry leczą mnie absolutnie ze wszystkiego. To, co dla jednych bywa wymówką, dla mnie jest siłą napędową do działania.

Czego się wystrzegam? Nudy i marazmu. Nie wszystko nas musi kręcić, ale absolutnie ze wszystkiego można wynieść jakieś nauki, jakieś wnioski. Ważne, żeby być tu i teraz, całym sobą. I wtedy z wycieczki na Borową możesz wynieść takie emocje, jakby się właśnie wysoki alpejski szczyt zdobyło.

A jak może wyglądać niezwykły zwykły weekend? Krótki pamiętnikowy wpis poniżej. Rzeczy działy się 28 i 29 września 2019 roku.



Sobota poranek – szybki marsz



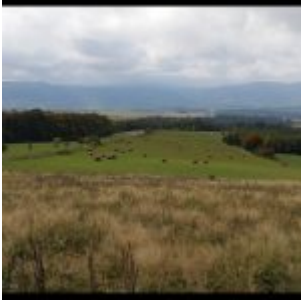
Sobota poranek – szybki marsz



Sobota przed południem – wspinaczka



Sobota koło południa – grzybobranie



Sobota popołudnie – przez pole do Międzygórza i z powrotem



Niedziela przed południem – w drodze na Czarną Górę



Niedziela południe – wracamy z Czarnej Góry



Niedziela popołudnie – jesteśmy pod Biskupią Kopą



Niedziela popołudnie – buty odzyskane

## **Marsz**

Przed 7 rano jestem na szlaku. Wchodzę z Marianówki na Igliczną, schodzę do Międzygórza i wracam innym szlakiem, by była pętelka. Rezultat: 10km w 1h46', a było to możliwe dzięki temu, że w nocy przeprowadzony został sumienny proces aklimatyzacji, której skutki odczuwałem jeszcze rano (wyjazd integracyjny z ludźmi z pracy). Podobnie jak pod Szczelińcem i tym razem dobrze znana ekipa zadbała o to, żebym nie wyszedł na szlak niezaaklimatyzowany. Na wszelki wypadek całość przeszedłem na czczo.

## **Skałki**

Po śniadaniu podjeżdża Aga i idziemy się powspinać. Prowadzimy po 2 drogi, ale jakoś na więcej nie mamy sprzęta, więc Aga wpada na pomysł, by pozbierać...

## **Grzyby**

Pierwszy raz zbieram grzyby w kasku i uprząży obwieszanej szpejem. Aga szaleje, co chwilę schyla się po zdobycz, na koniec znajduje grzyby mutanty.

## **Wycieczka**

Kiedy wracam do ośrodka ekipa jest jeszcze w Międzygórzu, więc proszę małżonkę, żeby mnie podwiozła. Asertywnie mi odmawia życzliwie wskazując jakąś drogę w pole: „zajdziesz tam niewiele później, niż ja zajadę” – tako żekła. Pokonuję zatem

pieszo te 3 i pół kilometra i szukam knajpy, z której będą dochodziły najgłośniejsze, najdziwniejsze, ale i najweselsze odgłosy. Potem posiłek regeneracyjny i całą grupą wracamy piechotą do ośrodka. Wieczorem przebiega dalszy proces aklimatyzacji przygotowujący do jutrzejszego ataku szczytowego.

## **Czarna Góra**

Rano zabiera mnie Mamowóz i jedziemy z dziećmi na Przeł. Puchaczówkę. Stąd, głównie piechotą, częściowo na rękach a czasem w wózku podchodzimy z Ma (rocznik 2017) i Mi (rocznik 2016) zboczem Czarnej Góry. Podczas wejścia spotykamy wielu życzliwych ludzi, od których moje dziecko słyszy „dasz radę!”. Ale mijają nas też bardzo depresyjna grupa, która pomimo prób obrony siebie w nas tekstami, że nie wejdziemy, że tam wyżej jest gorzej, że są kamienie i korzenie, że nie mamy szans i to się nie uda choćby nie wiem co... Zwątpiłem, ale nie w nasze możliwości, lecz w ludzi. Chwilkę otrząsamy się po tym spotkaniu i w dobrych humorach zdobywamy we czwórkę szczyt o wysokości 1205 m n.p.m. Na szczycie mocno wieje, trochę też pokropiło. Misiek choć trzyma się świetnie, to jednak nieco pęka i pyta mnie, dlaczego jego kuzynka leży teraz na leżaku nad basenem w Turcji, w 30 stopniach ciepła, a on chodzi po kamieniach i patykach, które są w dodatku brudne. No cóż synu, nikt nigdy nie mówił, że z takimi rodzicami będzie łatwo.

## **Góry Opawskie**

Po obiedzie wpadamy jeszcze do Nysy do drugiej babci. Przypominam sobie tutaj, że kolega ostatnio zostawił buty w schronisku pod Biskupią Kopą. Podjeżdżamy z Agą do Jarnołtówka i pędzimy na górę. Po kilku minutach widzimy tabliczkę: Schronisko 1h 30min. Nie może być o tym mowy – mamy co najwyżej godzinę na całość. Po 33 minutach jesteśmy na miejscu; zgarniam buty, kupuję batonika i po chwili pędzimy na dół. Tam, gdzie zaczyna się łagodniejszy teren zaczynamy biec i szybko meldujemy się przy aucie. Całość (6,6km) zajmuje nam

59 minut.

## **Powrót**

Po odebraniu dzieci udajemy się w kierunku domu. Docieramy do niego dopiero koło 22:30. Z domu wyszedłem w piątek rano. Co za weekend!